

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

6 (Ciąg dalszy)

Kazimierz słuchał milczący, hrabina zaś, rzuciła się nerwowym ruchem na sofę i mówiła dalej:

— Jeśli bronić się nie zechcesz, musisz mnie zgubić i popchnąć w przepaść, otwierającą się pod naszymi stopami, gdy ja dla naszego wspólnego szczęścia, chcę uniknąć nawet podejrzenia. Wolną i swobodną być pragnę, aby mieć prawo kochać cię w oczach całego świata... i oddać ci się cała!

— Ach, Marcelo... moja biedna Marcelo!

— Tak, tak... swobodni być musimy... swobodni i niepodejrzani... Czy nie mówiłeś nieraz, że pragniesz widzieć mnie wdową, żebyśmy nie potrzebowali ukrywać się z naszą miłością, żebyś mógł mnie poślubić?... Czyści oboje czekaliśmy na wyzolenie... a co wówczas mój mąż czynił? tarzał się w rozpucie, albo gonił szwaczki po ulicach, aby garścią złota i kolacyjką w gronie takich samych, jak on nicponiów, sprowadzać biedne dziewczęta z drogi cnoty!

— Wszystko to prawda. Miałas prawo go nienawidzić i pogardzać tym człowiekiem, lecz pomimo to, nie w sumieniach naszych nie zatrzymałam wspomnienia popełnionej zbrodni, której karzące brzemie spadnie na człowieka niewinnego, ojca trojga małych dzieci.

— Milcz! milcz!

— Mamy przed sobą dwie drogi. Albo zgodzimy się na to, że Marcin Żarski skazany zostanie na ciężkie dożywotnie roboty w kopalniach, albo musimy wyznać całą prawdę, oddać się w ręce sprawiedliwości i powiedzieć sędziemu śledczemu... mojemu ojcu... że my jedni tylko przestępcami jesteśmy. Wtedy czeka nas zasłużona kara i hańba.

— Nie! nie! nie chcę przyznać się do zbrodni! nie chcę stawać przed sądem!

— A więc posłuchaj. Na tem biurku mam rewolwer nabyty... Jedna kula dla mnie, a druga dla ciebie. Sami wymierzmy sobie karę, a Żarski będzie ocalony.

Urwał — czekając na odpowiedź. Lecz ona milczy.

Myśl o zgonie, proponowanym przez kochanka, napełnia jej serce straszną trwogą. Długie palce zanurzyła w bujne, rude włosy i drży, jak w febrze.

Co on mówił? Czy rzeczywiście myśli o samobójstwie? Czy w istocie chce z nią razem rzucić się w objęcia zimnej śmierci?... Z nią, taką jeszcze młodą, piękną i bogatą! przed którą dopiero teraz zaczyna się rozciągać rozległy widnokrąg szczęścia — z nią, która go kocha tak gorąco, namiętnie, bez granic! Nie! Nie! nie umrze... nie chce umierać!

Powstała — i rzuca się w ramiona młodzieńca. Obejmuje go za szyję, usta swoje do ust jego przycisnęła, a całując je, czuje, że on się nie broni, że poddaje się jej pieścizom, że w cieple ich wola jego słabnie, że staje się znowu jej niewolnikiem, a ona władzę swą nad nim odzyskuje i pomimo budzących się w sumieniu wyrzutów, powiedzie go z sobą dokąd zechce, choćby miał zdeptać prawa boskie i ludzkie, zagradzające im drogę do szczęścia...

— Och, Marcelo moja! co czynić? Dziś wieczorem o godzinie dziewiątej mam się widzieć z ojcem. Gotów mnie badać, wypytawać... Może dla tego właśnie wezwał mnie do siebie.

— Pytasz, co masz czynić? Zaraz ci odpowiem, lecz wprzód chcę być pewną, że co dziś postanowimy, nie ulegnie następnie żadnej zmianie.

— Mów! mów!

— Teraz przede wszystkim musimy myśleć o naszej własnej obronie... o ocaleniu obojga...

— A niewinnie uwięziony?... a Marcin Żarski?

— Niech sobie radzi jak może! My zaś nie mówmy o nim ze sobą nigdy!

— Och, Marcelo! Marcelo!

— Popełniłam zbrodnię, to prawda, lecz popełniłam ją dla zaspokojenia sprawiedliwej zemsty.

Nie możesz mieć pojęcia, co wycierpiałam przez tego ohydneho człowieka! Od dawna na zgon jego czekałam i życzyłam mu śmierci; oddawna przemysliwałam nad jakąś fantastyczną zbrodnią, któraaby mnie wyzwoliła z pod władzy nędznika, który skradł mi ukochane dziecko! Łotr porwał je w nocy. Przekupił mamkę mego syna, przekupił jej męża; nabył od nich grunt i chatę za potrójną cenę, zniszczył im całą posiadłość, równając zabudowania z ziemią, a ich samych skłonił grubymi pieniądźmi, by wynieśli się w dalekie strony. Dla tego tylko, żeby zatrzeć za nimi ślady wszelkie, żebym wychowanców mego małego odszukać nie zdołała. Gdy się o tem wszystkiem dowiedziałam i wszystko sprawdziłam na miejscu, tegoż samego dnia, wróciwszy do domu, rzuciłam mu się do nóg, błagając go ze łzami o zwrot dziecka, lecz niegodziewicz na prośby moje odpowiadał szyderczemi obelgami. Od tej chwili nienawiść moja do niego wzrastała z dniem każdym. Postanowiłam zemścić się i czekałam na sposobną chwilę. Gdy nadeszła nareszcie, w lot ją uchwyciłam... i niczego... nie żałuję!

— Mąż twój jednak uniósł z sobą tajemnicę do grobu. Nigdy się już nie dowiesz, co się z synem twoim stało...

Marcelina opuściła głowę na piersi.

— A sumienie wyrzucać ci będzie zawsze popełnioną zbrodnię — dodał Kazimierz.

— Zamilcz!... zamilcz! mój drogi.

Rozgorączkowana, z błyskawicami szła w oczach, przygryzając do krwi zbielełe od gniewu wargi, przechadzała się po salonie. Nagle zatrzymała się przed Kazimierzem i rzekła:

— Słuchaj! mam przecucie, że syna mego odnajdę. Dziwne przypadki zdarzają się nieraz w życiu, a ja na jeden z takich szczególnych trafów czekam z ufnością. Czy ktokolwiek bądź mógł przewidzieć, że pewnego dnia po powrocie z konwencyonalnej przejażdżki po Łazienkach, zostanie niespodzianie pochniętą przez fatalność do zbrodnicego czynu, że temi małemi rękami: uduszę męża?... Przyznaję, że byłam zawsze ambitną; że bieda, w jakiej przeżyłam lata panieństwa upokarzała mnie i zawstydziała, lecz przecież nikomu najmniejszej krzywdy nie wyrządziłam. Poślubiłam hrabiego Jelskiego, tylko ze względu na jego wiek podeszły, tytuł i majątek... i to prawda! lecz czyż tysiące innych, zwłaszcza w moim położeniu, nie postąpiłoby w tenże sam sposób? Czy połowa małżeństw w naszym świecie nie zawiera się tylko dla pieniędzy?

— To też pieniądze sprawiają, że tyle podłości dzieje się w waszym świecie — rzekł Kazimierz z pewnym rodzajem chłodu w głosie i ironicznym uśmiechem na ustach. — Sprzedałaś się hrabiemu Jelskiemu, oddając mu się bez miłości, a teraz uskarżasz się i narzekasz po niewczasie gdy twój spóźniony żal, straszliwych skutków poślubienia nie kochanego rozpustnika zmienić już nie może.

Marcelina nie odpowiedziała na gorzkie słowa młodzieńca. Oboje zamilkli.

Deszcz, bijący o szyby salonu, wydzwaniał na nich, jakąś monotonna, drażniącą nerwy melodyę.

Hrabina, rozsunała nieco firanki i patrzyła na ulicę, po której płynęły potoki brudnej wody. Deszcz przemieniał się powoli w rześistą jesienną ulewę. Marcelina, zasunęła firanki, zbliżyła się do siedzącego na sofie Kazimierza i usiadła przy nim. Oboje jednak milczeli dalej.

Stary służący wszedł do pokoju.

— Może przyniesie co z restauracji? — zapytał. — Tu, od niedawna zamieszkały kucharz francuski rozsyła na miasto smaczne obiady i kolacje. Jeśli pan mecenas rozkaże, skoczę po dwa nakrycia.

— Nie, nie! mój Stefanie — odparł Kazimierz przerywając lokajowi mowę — nic jeść nie będziemy.

Stefan wrócił do przedpokoju.

— Jeść!... Boże! jakbyśmy byli głodni! — syknął młody człowiek, wzruszając ramionami. — Od pamiętnego wieczora nic prawie w ustach nie miałem. Ile razy siadę do stołu, czuję ścisnięcie w gardle, jakby mnie kto dławił.

— Z tego, co mówisz, wnoszę, że nie rozgniewasz się na mnie, gdy zaraz odejdę — rzekła Marcelina, wkładając na głowę kapelusz i zapuszczając na twarz woalkę. — Zatem i dziś znowu nie spędzimy wieczoru razem?

— Nie mogę... ojciec na mnie czeka.

— A więc chodźmy!

— Chodźmy!

Molski podał jej okrycie, sam przywdział palto — i oboje zeszli ze schodów. Na placu teatralnym pożegnali się uściśnieniem ręki.

Kazimierz skinął na mijającego woźnicę, a gdy ten konie zatrzymał, wskoczył do dorożki i kazał się odwieźć na Długą. Siódma biła na ratuszowej wieży, gdy wysiadł przed bramę pierwszej frontowej kamienicy. Szybko przebiegł jedno i drugie podwórze i cicho wsunął się do sieni. Lecz Eugenia czekająca widocznie na niego, posłyszawsza odgłos kroków brata i wyszła na jego spotkanie.

— Siadziemy dziś do stołu sami we dwoje — rzekła, witając się z Kazimierzem — bo ojciec kazał sobie podać wieczerze dla pracowni. Jest bardzo zajęty i dziwnie niespokojny. Zdaje mi się, że to śledztwo w sprawie zamordowania hrabiego Jelskiego, tak bardzo go absorbuje. Jak wiesz, pragnie widzieć się z tobą. Czeką na ciebie. Sądzę — dodała ze wzruszeniem — że chciałby cię prosić o podjęcie się obrony mordercy.

Kazimierz zbladł.

— Znajdziesz w niej niezawodnie świetne pole do krasomówczego popisu — mówiła dalej — bo mam głębokie przekonanie, że Żarski jest niewinny. Ten człowiek nie popełnił zbrodni! dałabym za to głowę... Zbyt dobrze go poznałam w czasie mojej choroby, abym mogła myśleć inaczej.

— Czy przekonanie twoje i ojciec podziela?

— Och, papa we wszystkich obwinionych widzi morderców!... Co prawda, przyznać muszę, że okoliczności, oskarżające Żarskiego, noszą na sobie bardzo poważny charakter... Zaraz po wieczorze pójdziesz do ojca, mój drogi, ale proszę cię, nie mów nic złego o naszym biednym doktorze, raczej... wyrażaj się o nim z politowaniem...

— Solennie ci to przyrzekam.

Po kolacyi, do której tylko brat i siostra zasiedli, Eugenia udała się do swego pokoju, a Kazimierz do gabinetu ojca.

Piotr Molski czekał już na syna.

— Mam ci wiele do powiedzenia i wiele rzeczy pragnąłbym cię zapytać — rzekł sędzia przewracając rozłożone na biurku papiery. — Uwięzienie Marcina Żarskiego przejmuję mnie trwogą... lękam się, czy nie palnąłem strasznego baka.

Kazimierz zadrżał.

Piotr mówił dalej:

A jednak dowody rzeczowe, jak kapelusz i list matki, zdają się potępić nieszczęśliwego... Mówię „nieszczęśliwego“, bo Genia, pamiętająca starania jakimi ją otaczał w chorobie, na samą myśl, że biedak może być skazany, płacze i lamentuje. Nie dość tego: wierzy na seryo w jego niewinność. Jej wzruszenie i wiara i mnie nabawiają kłopotu. Gruntu nie czuję pod nogami; nie mam pewności siebie, jaką zdobywam bardzo szybko w innych tego rodzaju sprawach. Kilkakrotnie już pytałam panią Janinę Żarską, o przyczynę odwiedzin syna u hrabiego; za każdym razem nie chciała mi na